

O tym, jak burza przewróciła szyldy

W dawnych czasach, gdy dziadek był jeszcze zupełnie małym chłopcem i chodził w czerwonych spodenkach, czerwonej kurtce z pasem oraz czapce z piórem – a trzeba wam powiedzieć, że wówczas dzieci właśnie tak ubierano, jeśli chciano je wystroić – otóż w owe odległe, bardzo odległe czasy wszystko było zupełnie inne niż teraz.

Jakież to bowiem urządzano niegdyś uroczystości na ulicach! Nam z wami takich już nie dane zobaczyć: dawno temu je zniesiono, wyszły bowiem, jak się mówi, z mody. Ale jakże zajmująco słuchać teraz dziadkowych opowieści o tym, nawet sobie wyobrazić nie możecie!

Coż to było za wspaniałe widowisko, gdy na przykład szewcy zmieniali siedzibę cechu i przenosili na nowe miejsce cechową szyld. Na czele procesji majestatycznie kołysał się jedwabny sztandar z wizerunkiem wielkiego buta i dwugłowego orła. Młodszy czeladnicy uroczyście nieśli kubek toastowy i wielką skrzynię, a na rękawach powiewały im na wietrze czerwone i białe wstęgi. Starsi czeladnicy trzymali w dłoniach obnażone szpady z nabitymi na ostrza cytrynami. Muzyka grzmiała tak, że aż niebo drżało, a najwspanialszym instrumentem w orkiestrze był „ptak” – tak dziadek nazywał długi drąg zwieńczony półksiężycem i obwieszony rozmaitymi dzwonkami i dzwoneczkami – prawdziwa turecka muzyka! Drąg podnoszono i kołysano nim na boki, dzwonki dzwoniły i brzęczały, a w oczach aż mieniło się od złota, srebra i miedzi lśniących w słońcu.

Przed wszystkimi biegł arlekin w stroju z kolorowych łatek; twarz miał posmarowaną sadzą, a czapkę ozdobioną dzwoneczkami – ani dać, ani wziąć koń zaprzężony do sań! Machał on kijem na prawo i lewo, lecz był to kij-hukawka: jedynie głośno trząsał i straszył ludzi, nikomu jednak nie czyniąc krzywdy. Ludzie tłoczyli się i pchali, starając się przepchnąć jedni do przodu, drudzy do tyłu; chłopcy i dziewczęta potykali się i leciały prosto do rowu, a starsze kumoszki rozpaczliwie pracowały łokciami, gniewnie rozglądały się na wszystkie strony i złorzeczyły. Wszędzie słychać było gwar i śmiech. Ludzie stawali na schodach, wychylali się z okien, a niektórzy nawet wspinali się na dachy. Na niebie jasno świeciło słońce. Prawda, zdarzało się, że na procesję spadł niewielki deszczyk, lecz przecież deszcz rolnikowi nie przeszkadza: niech choćby całe miasto przemoknie na wskroś, zaro plon będzie bogatszy!

Jakże dobrze opowiadał nasz dziadek, aż można było się zasłuchać! Przecież jeszcze jako mały chłopiec widział to wszystko na własne oczy. Starszy cechowy

czeladnik zawsze wdrapywał się na podest zbudowany tuż pod szyldem i wygłaszał mowę – i to nie byle jak, lecz wierszem, niby z natchnienia. Zresztą i tutaj rzeczywiście nie obywało się bez natchnienia: mowę bowiem układał razem z dwoma przyjaciółmi, a pracę zaczynali od wychylenia całego kubka punchu – oczywiście dla dobra sprawy. Lud witał tę mowę okrzykami „hurra”. Lecz jeszcze głośniej krzyczano „hurra” arlekinowi, gdy również wdrapywał się na podest i przedrzeźniał mówcę. Wszyscy śmiali się do upadłego, a on popijał sobie miód z wódczanych kieliszków i rzucał kieliszki w tłum, a ludzie łapali je w locie. Dziadek miał taki kieliszek: złapał go pewien tynkarz i podarował mu na pamiątkę. Tak, to było wesołe życie, prawdziwe wesele! A szyld, cały w kwiatach i zieleni, prezentował się okazałe na nowym miejscu.

– Takiego święta nie zapomni się, choćby się żyło sto lat! – mówił dziadek.

I rzeczywiście niczego nie zapomniał, choć ileż to różnych uroczystości i świąt przeżył na swoim wieku. Wiele mógłby opowiedzieć, lecz najzabawniej opowiadał o tym, jak w jednym dużym mieście przenoszono szyldy.

Dziadek był jeszcze zupełnie mały, gdy przyjechał z rodzicami do tego miasta, największego w kraju. Na ulicach było pełno ludu, a dziadek nawet pomyślał, że i tutaj będą uroczystości przenosić szyldy, których, nawiasem mówiąc, znalazło się tu ogromne mnóstwo – setki pokoiów można by wypełnić tymi obrazkami, gdyby wisiały nie na zewnątrz, lecz wewnątrz domów. Na szyldzie krawca przedstawiono różne ubrania, i gdyby tylko chciał, mógłby nawet przerobić najbardziej niepozornego człowieka w najpiękniejszego. A na szyldzie handlarza tytoniu – ładni chłopcy z cygarami w ustach, takie figlary! Były tu szyldy z masłem i śledziami, były szyldy z pastorskimi kołnierzykami i trumnami, a ileż wszędzie wisiało ogłoszeń i afiszów – niewiedomie wiele! Chodzić sobie cały dzień tam i z powrotem ulicami i podziwiać, ile dusza zapagnie – przecież to obrazki. A przy okazji dowiedzieć się, jacy ludzie mieszkają na ulicy – sami bowiem wywiesili swoje szyldy.

– Poza tym – mówił dziadek – gdy trafi się do dużego miasta, pożytecznie i pouczająco jest wiedzieć, co kryje się za grubymi kamiennymi murami domów.

I trzebaż było, aby cały ten zamęt z szyldami przydarzył się akurat w dniu, gdy dziadek przyjechał do miasta. Sam o tym opowiadał i bardzo składnie, choć mama twierdziła, że zawraca mi głowę. Nie, tym razem dziadek mówił poważnie.

Pierwszej nocy, gdy przybył do miasta, rozszalała się tu straszliwa burza, tak straszliwa, że takiej ani w gazetach nigdy nie opisywano, ani starzy mieszkańcy nie pamiętali. Wiatr zrywał dachówki z dachów, trzeszczały i waliły się stare płoty, a jedna taczka nagle wzięła i potoczyła się ulicą, by uciec przed burzą. A burza

szalała coraz mocniej i mocniej, wiatr dziko wył, ryczał i bębnił w okiennice, ściany i dachy. Woda w kanałach wystąpiła z brzegów i teraz просто nie wiedziała, gdzie się podziać. Burza pędziła nad miastem, łamała i unosiła kominy. A ileż to starych wyniosłych kościelnych iglic ugięło się tej nocy – po prostu nie sposób policzyć! I już nigdy się nie wyprostowały.

Przed domem szanownego brandmajora, który przybywał na pożar, gdy z budynku zostawały jedynie головешки, stała budka wartownicza. Otóż burza dla czegoś zapragnęła pozbawić go tego skromnego symbolu pożarniczej dzielności i, przewróciwszy budkę, z hukiem potoczyła ją ulicą. Co dziwne, budka zatrzymała się przed domem biednego cieśli, tego samego, który podczas ostatniego pożaru wyniósł z ognia trzech ludzi – i tak tam pozostała, lecz oczywiście bez żadnego złego zamiaru.

Szyld golibrody – wielką miedzianą misę – wiatr cisnął na parapet domu radcy sprawiedliwości. Oto zostało to uczynione wyraźnie celowo, szeptały sąsiadki, gdyż wszyscy, nawet najbliższe przyjaciółki jego żony, nazywali panią radczynię „brzytwą”. Była taka mądra, tak bardzo mądra, że wiedziała o ludziach znacznie więcej, niż oni sami o sobie wiedzieli.

A szyld z namalowaną na nim suszoną dorszem przefrunął na drzwi redaktora jednej gazety. Pomyśleć tylko, jaki absurd! Burza, jak widać, zapomniała, że z dziennikarzem żarty są złe: ведь w swojej gazecie on sam jest głową i żadne prawo mu nie pisane.

Kogut na chorągwi wiatrowej przefrunął na dach sąsiedniego domu i tam pozostał – z jakimś złym zamiarem, oczywiście, mówili sąsiedzi. Beczka bednarza znalazła się pod szyldem „Damskie mody”. Menu wiszące u wejścia do restauracji wiatr przeniósł do wejścia teatru, do którego rzadko kto zaglądał. Niezła wyszła z tego afisha: „Zupa z chrzanu i kapusta faszerowana”. Publiczność tłumnie ruszyła do teatru.

Lisi futerko z szyldu futrzarza zawisło na sznurku dzwonka u drzwi pewnego młodzieńca, który regularnie chodził do kościoła, zachowywał się ciszej niż woda, niżej niż trawa, dążył do prawdy i wszystkim służył za przykład, według słów jego ciotki.

Deska z napisem: „Wyższa uczelnia” znalazła się na klubie bilardowym, a na zakładzie pijackim pojawił się szyld lekarza dziecięcego: „Tutaj dzieci przyuczane są do butelki”. I вовсе to nie było dowcipne, а просто niegrzeczne! Lecz jeśli już burza zechce coś narobić, то непременно narobi, i ничего ты з nią не zrobisz.

Tak, cóż to była za pogoda! Nazajutrz – tylko pomyślcie! – wszystkie szyldy w mieście zamieniły się miejscami, a кое-где powstało takie bezeczeństwo, że dziadek, choć bardzo chciał o tym opowiedzieć, лишь milczał i uśmiechał się do siebie – od razu to zauważyłem – а значит, coś ему chodziло по głowie.

Jakżeż musieli się czuć mieszkańcy tego miasta, a zwłaszcza przyjezdni! Zupełnie zgłupieli i chodzili jak zagubieni. Inaczej być nie mogło: przyzwyczaili się bowiem szukać drogi według szyldów! Na przykład ktoś chciał dostać się na

posiedzenie działaczy omawiających najważniejsze sprawy państwowe, а траfiał do szkoły pełnej chłopców, którzy ze wszystkich sił starali się przekrzyczeć nawzajem i tylko na głowach nie chodzili.

A byli i tacy, którzy przez szyld zamiast do kościoła trafiali – o zgrozo! – do teatru.

Teraz takich burz już nie ma: taką tylko dziadek zdążył zobaczyć, i to wtedy, gdy jeszcze był chłopcem. I вряд ли taka burza powtórzy się za naszego życia; chyba że za życia naszych wnuków. A my damy im dobrą radę: „Dopóki burja przewraca szyldy, siedźcie lepiej w domu”.